X V Kraków 1 stycznia 1921 Nr 1.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

kwartalnie: z przes. pocz. 57 M. 20 f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 439

[illegible]
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81,

Numer pojedynczy 10 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 10 Marek.



— Piękna Amelio! proszę cię o rękę!...
— Tylko tyle!... Myślałam, że pan masz realniejsze zamiary!

Od Administracyi.

Z powodu nowej podwyżki cen papieru wynoszącej przeszło 50 procent, podniesienia opłat pocztowych, które wynoszą od dotychczasowych z dniem 15 grudnia 100 procent, wreszcie automatycznej podwyżki płac personalu drukarskiego i rosnącej z dnia na dzień drożyzny wszelkich środków niezbędnych przy wydawnictwie czasopisma zniewoleni jesteśmy do nowego uregulowania prenumeraty.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową od 1-go stycznia 1921 r. wynosi:

Rocznie	Mk. 228·—
Półrocznie	„ 114·—
Kwartalnie	„ 57·20
Pojedynczy egzemplarz	„ 10·—

Po srebrnem weselu.

Państwo Kohn byli już w wieku, w którym się bierze rozwód nie tyle od stołu, ile od łoża. Aby mieć spokój i niepotrzebnie nie fatygować, aby się przekonać w rezultacie, że był to fałszywy alarm, przeniosła pani Kohn swą sypialnię do sąsiedniego pokoju i stale zamykała się na noc na klucz.

Przysłowie powiada, że, jeśli Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści... Pan Kohn poczuł pewnej nocy, że wstępują weń dawne utracone siły... A było to akurat po rocznicy srebrnego wesela, która skończyła się fiaskiem...

Pani Kohn słyszy dyskretne pukanie do drzwi.

— Kto tam?... — pyta.

— Ja!... — odpowiada mąż — Reginko!.. Otwórz, ale prędko!... Mam ci coś ważnego powiedzieć!...

— Ani myślę!... Tyle razy to samo zapowiadałeś, a nigdy nie było nic... Dobranoc!...

On jednak pukał dalej...

— Nie szkoda ci palca?... — zawołała pani Kohn, już zirytowana.

— To ty myślisz Reginko, że ja pukam z palcem?... — odpowiedział — Jeśli tak myślisz, to jesteś w błędzie...

Na to pani Kohn zerwała się spiesznie z łoża, otworzyła drzwi swej sypialnej komnaty i wpuściła do wnętrza swego małżonka...

Tym razem nie zawiódł jej oczekiwań i choć już po srebrnem weselu, naprawił swą zepsutą reputacyę.

Piosenka cyklisty.

Blask słońca padł na łóżko,
Przez okno rzucił dań —
Cyklistko! moja duszko,
Z pościeli ciepłej wstań!

Już tandem na cię czeka,
Sportowy kostyum wdziej,
Naciśnij pedał z lekka,
Pomkniemy razem — Hej!

Przed nami pola, niwy,
Las, łąka, albo włość,
Cykl napił się oliwy,
Powietrza w gumach dość!

Niech świeci uśmiech z twarzy
Brzmią w sercach złote sny —
A gdy się knajpka zdarzy,
Kropniemy coś i my!

Los żwawo w dal powiedzie,
Bo on druch wierny nasz,
Ja siądę wpierw na przedzie,
Ty — z tyłu miejsce masz!

Gdy zaś zbyt mej osobie
Dokuczy blask i pył,
Ty — z przodu siędziesz sobie,
A ja ci wezmę tył!

Bo gdzie serc ognie płyną
I miłość tryska z lic —
Pozycya — wierz dziewczyno! —
Nie znaczy wtedy nic!...

Est modus!...

— Panno Stasiu!... Czy mogę mieć nadzieję?...

— Pomów pan z mamą!...

— Mówiłem właśnie!... Ale mama dobrodziejka źle mnie zrozumiała widocznie i wzięła to do siebie, oświadczając, że nad tak ważnym krokiem w swem życiu musi się poważnie zastanowić... I co tu teraz począć z tym fantem?...

— Wszystko będzie dobrze!... W tem moja głowa!.., Już my się obydwoje postaramy o to, aby ślub musiał się odbyć i to zaraz!...

Kłopoty małego Jasia.

W podróży zatrzymali się rodzice z małym tylko na nocleg w zajeździe. W pokoju było Jasiem jedno łóżko, które zajęli, lokując chłopca w nogach.

Co się stało, niewiadomo, gdyż było ciemno, kiedy Jaś nagle znalazł się na podłodze. Ale on, choć liczył dopiero pięć wiosen, widocznie wiedział, gdyż odzywa się z płaczem:

— Także wam się na starość zachciewa!... Przez te wasze romanse, to ja sobie jeszcze mogę kark skręcić!...

Nieporozumienie.

Wiadomo, że w wigilię Bożego Narodzenia urządza się powtórzenie „lania“, jakie się odbyło w przeddzień św. Andrzeja.

Po świętach, gdy się u państwa radców zebrało towarzystwo, pyta ktoś mimochodem:

— A jakże tam tego roku było z laniem po wilii?

— Nie było żadnego!... Dawniej, gdy człowiek zjadł rybkę, a po niej wypił kilkanaście kieliszków wina, to co innego!... — mówił pan radca — Wino ogromnie pędzi... Ale teraz, po jajecznicy i herbatce?... Czem?...

W dniu 1. stycznia 1921.

(KARTKA ZE STARYCH KRONIK).

Działo się to w dniu 1. stycznia 1921 roku, naturalnie przed narodzeniem Chrystusa, gdy na tronie egipskim zasiadał jeden z Faraonów, a Józef, syn Jakóba (Jacobsohn) był dyrektorem egipskiego *Puzappu*.

Pan Jan obudził się o świcie. Przetarł oczy, ziewnął, stęknął i spojrzał w okno. Już szarzało, była zatem niezawodnie ósma, według czasu letniego.

W pokoju było zimno, rzucił zatem z kolei okiem w stronę pieca, jak gdyby chciał zapytać:

— A ty, dlaczego nie grzejesz?

Piec odpowiedział mu również spojrzeniem, pełnem wyrzutu, w którem można było wyczytać pytanie:

— A gdzie węgle?...

Zrozumiał widocznie, mruknął bowiem pod nosem:

— Psiakrew!... Miłe czasy!... Byłem w inspektoracie po węgle, powiedzieli, że trzeba się było zgłosić z zapotrzebowaniem w czerwcu i odesłali mnie do magistratu... Tam dowiedziałem się, że kartek na węgle nie wydają, aż do czasu, gdy komisya, która ma zbadać zapasy, nagromadzone po piwnicach, skończy urzędowanie, co przewidziane jest na początek kwietnia, potem magistrat poweźmie decyzyę, trzeba zatem czekać do maja...

I nie mogąc się rozgrzać inaczej, użył „systemu centralnego“, to jest kropnął sobie spory łyk gorzały, z fabryki, zostającej pod protektoratem trzeciego wiceprezydenta miasta. Wódka ta dobrze robi, szczególniej tym, którzy ją wyrabiają i sprzedają, ale i panu Janowi źle nie zrobiła.

Nie budząc żony, która śniła widocznie jakieś sny przedwojenne, powtarzała bowiem machinalnie: „sześć jaj, pół funta cukru, trzy łyżki masła deserowego...“, ubrał się odświętnie i wyszedł z mieszkania.

— Dzisiaj Nowy Rok!... — rzekł do siebie. — Trzeba powinszować panu Walentemu...

I skierował się ku apartamentom, zajmowanym przez dozorcę domu, gdzie jeszcze wszyscy spali w najlepsze.

Pan Walenty, dowiedziawszy się o celu odwiedzin lokatora, rzekł z pod pierzyny, pod którą wygrzewał się obok dozgonnej towarzyszki życia.

— A to ładnie, że pan o nas pamiętał... Mój panie!... Weź pan klucz i odemknij bramę, a ja się tymczasem przyodzieję, to się napijemy po kieliszeczku, na pomyślność przy tym Nowym Roku.

Posłuszny, zrobił pan Jan, jak mu kazano, a gdy wrócił, Walenty już się kręcił po izbie w pantoflach, z cygarem w ustach.

— Bo to, widzi pan — mówił — akurat trzydzieści siedem lat minęło, jak my się poznali z moją starą... W samą noc Sylwestrową... Więc też przypomnieliśmy sobie dawne czasy i dlatego człek zaspał... Dobrze przynajmniej, że nikt w nocy nie dzwonił i nie przeszkadzał...

— Więc państwo obchodzili zaręczyny?...— pytał pan Jan.

— A juści!... Ale już nie poszło tak, jak wtedy!... — i westchnął, a drugie takie westchnienie doszło z pod pierzyny, jak gdyby na potwierdzenie, że mówił prawdę...

Popili, przegryźli kiełbasą, pan Walenty zaprosił lokatora na obiad, na gęsinę, zaznaczając, że będzie i gospodarz.

Pani Walentowa poparła z pod pierzyny zaproszenie, pan Jan wyszedł, przyrzekając, że się stawi punktualnie. W sieni spotkał gospodarza. Był wystrojony we frak i biały krawat, i też śpieszył z życzeniami do państwa Walentych.

W bramie natknął się pan Jan na kominiarza tej dzielnicy, uprzedził go jednak i sam

Ferdek Eleuteryk.



Całkiem klawo udało sie skuńczyć ten rok, ludowcowato-mindzynarodowy 1920, w którym Polska zostawała pod opieką dwu Patronów: świntygo Wincentygo z Wierzchosławic i świntygo Ignacygo, towarzysza. Kto kuńca nie doczekał, ten sam se jest winien, ale niech go to bedzie pocieszające, że nic na tym nie stracił, bo podobnie jak początek był nic wart, środek był nie lepszejszy, a z kuńcem tyż z przepreszyniem do bani.

Bo i proszę mi rzeknąć, na czem kto użył w tym roku?... Używaliśmy, niczym pies w studni, a cieszyliśmy się z dobryj doli, niczym goły w pokrzywach. Ale są tacy, którzy rok ten żegnają z żalem i powiadają, że był krótki, choć był trzysta sześćdziesiąt sześć dni mający. Pogrzebową stypę sprawili mu na Sylwestra, strzelając z szampitrowych dupelek na wiwat.

Jedną ino zmiane bedzie mieł tygoroczny Selwester w swym programie, nie bedzie na nim świń. Dla lepsijszego objaśnienia muszę być dodającym, że tu rozłazi się nie o te świnie, które siedzą przy stołach, a łażą na dwu cybuchach, ino o czworonożne, które śwobskim zwyczajem puszczano na Nowy Rok na szczyńście. Swoby są mądre łehki i wiedzą, że, aby być szczyńsliwym w życiu, trza być z przepreszyniem, świnią. Ale i my o tem wiemy tyż, bo i u nas rozsyła się kartki na Prymaprylis z wizerunkiem tłustygo wieprza i podpisem: „Żyj tak, jak ona, a dojdziesz do miliona!“...

Ci, którzy takie kartki dostawali, zrobili, jak się im radziło i w samyj rzeczy mają milijony, ale nie są lubiący, gdy im kto wspomni o tym czworonogu, którymu zawdzinczają swoje cinżkie hopy. Tymbardzij nie są na nie patrzeć chcący...

I z tygo powodu, aby nie byli myślący, że to alluzyja do nich, świń tygo roku na Sylwestra nie bedzie, choć mimo to nie braknie ich w ten dzień po różnych lokalach, gdzie sie żegno stary rok, a wito nowy. Ale są *inkognito*, na dwu kopytach, nie na czterech i całkiem do ludzi podobne.

Bezregi skasowano tyż ze względów rytualnych na podstawie postanowień pelagrafów o ochronie praw mnijszości narodowych, aby nie drażniły obewateli neutralnych stanowczo, uważających je za nieczyste, co im przecie nie przeszkodzo, że handlują niemi, a nawet lubią se wsunąć bułeczkę z polędwicą, gdy współwyznawca nie jest patrzący.

A, choć ich Nowy Rok jest na wrzesiń przypadający, obchodzą i jeden i drugi, bo są zdania, co twoje to moje, a co moje, to zdaleka od tygo!...

Bedzie zatym w ten dziń rojno i gwarno po restauracyach i kawiarniach, naród paskarsko-lichwiarski bedzie sie radował, a preletaryat, tak jenteligenty, jak mindzynarodowy bedzie mioł frajdę, jeżeli se bedzie w zimnym pokoju strzelać ze swojij wiatrówki na wiwat, pęcokiem lub fasolą.

Ale kto mo chopy i ochotę, ten sie może być bawiący, a obu tych rzeczy życzy im nie podpisany P. T. Czytelnikom przy tym Nowym Roku. Amen.

Niecierpliwa pluskwa.

Gość, zapisując swe nazwisko w księdze przejezdnych w pewnym „pierwszorzędnym“ hotelu, widzi pluskwę, łażącą spokojnie po książce...

— A to szelma niecierpliwa — mówi do siebie — Nie może się doczekać na swoje ofiary i aż tutaj przyszła ich szukać.

Polka „Co-mi-zrobisz!?“

— Słuchaj Mańka, niech cię kolka!
Pódź tu prędzej! idzie polka! —
Tak na Mańkę Antek woła
Już nią kręci dookoła.

Raz, dwa, pcha ją w tył od siebie
I pedałem lewym grzebie
Czapkę zsunął fest na bakier
Gęba glanc ma kieby lakier!

Rany! rety! co za frajda
Jak ci Mańka gizą majda
Nie tańcuje ino dryga
Bo nią kręci Antek Fryga!

U kapusty drobne liście
Antek tańczy posuwiście
Rżnie harmonia jak organy,
Do wszystkiego Antoś cwany!

Mówił mi kum Kalasanty:
„Gdy się zazielenią Planty
Zazieleni się Zakrzówek,
Będzie Mańka mieć przychówek!..“

Przy wynajmie mieszkania.

— Zwracam też uwagę pańską, że absolutnie nie pozwalam na przyjmowanie wizyt obcych kobiet... Mam córki dorastające...

— Doskonale!... To mi na rękę!... Lubię wygody w domu... A czy za te „dodatkowe świadczenia“ żąda pani dobrodziejka osobno dopłaty?...

— Pan mnie widocznie nie rozumie!... Ja nie pozwalam na to, ze względu na me córki...

— Bardzo przepraszam!... A ja to zupełnie inaczej zrozumiałem...

Pobożna Mania.

— A gdzież też córka pani Maciejowej, ta seminarzystka?... Już jej dawno nie widziałam!

— Poszła, moja pani kochana, na roraty...

— Co też pani mówi!... Na roraty?... Przecież roraty odprawiają się rano, a teraz jest wieczór...

— Tak, moja pani, to prawda!... Ale to bardzo pobożne dziecko i woli wyjść wieczór, aby się nie spóźnić!... Narzeczony jej mieszka od od kościoła dwa kroki i ma budzik, a nasz, jak na złość się zepsuł, a naprawa tyle dziś kosztuje... Zresztą moja pani, dziewczyna już w latach, nie chcę jej zamykać drzwi do szczęścia!... A nuż się z nią ożeni?...

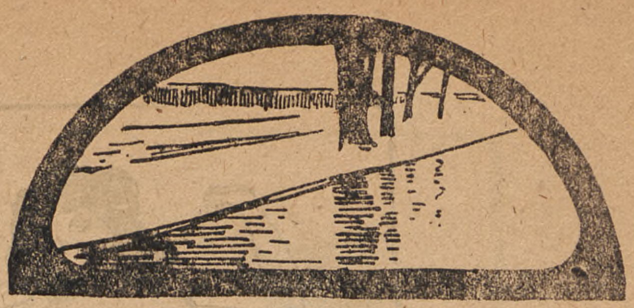
— Dałby Bóg, aby pani kochana została jak najprędzej babkę!...

— Jestem już moja pani, jestem!... Tamten łajdak ożenił się z inną, temu lepiej z oczu patrzy!...

Fatalna omyłka druku.

Z historyi: Na kartach dziejów wszystkich epok spotykamy się aż nazbyt często z postaciami cielnych kobiet...





Nagrobki.

Broszkiewiczowi.

Tu leży piekarz,
Boże go nie karz!
Wyrabiał bułki
Tak, jak aptekarz.

Wołkowskiemu.

Temu za życia mozoły
Nieba nie były łaskawe,
Bo w piekle dziś, zamiast smoły
Pić musi swą czarną kawę.

Lasakowi.

Tutaj natchniony piewca
Położył nagrobek szewca
Dzisiaj już ceną kamaszy
Klientów swych nie odstraszy!

M. Merlińskiej.

Ot! w nagrobku kilku słowy
Niech potomność płaci dług:
Gdy nie można na cześć głowy
Niechże będzie na cześć nóg!

Niech tam inny w księgach kiśnie
Lub na scenie krzywi pysk —
Jeden z głowy sens wyciśnie
Drugim — nogi niosą zysk!

Dzielne kobiety.

— O!... I między kobietam zdarzają się nieraz dzielne jednostki, którym ludzkość ma wiele do zawdzięczenia!... Taka naprzykład Judyta, ucina głowę Holofernesowi i ratuje swój naród...

— Tak!... Ale ona to zrobiła więcej po męsku, niż po kobiecemu... W każdym razie ma pan zupełną racyę!... Wszak i królowa Ludwika uratowała Prusy w Tylży, choć Napoleonowi nic nie ucięła... Ten sposób ratowania był bardziej kobiecy...

Zuzanna w kąpieli

— Podziwiać się musi siłę ducha, jaką się odznaczały dawne kobiety... Ot, choćby tylko taka Zuzanna i trzech starców... Czy dzisiejsza kobieta potrafiłaby się oprzeć pokusie i, jak ona wyjść zwycięsko z tych opresyi?...

— To bynajmniej nie jej zasługa.

— A czyjaż?...

— To wina owych trzech starców... Nie mogło przyjść do niczego, skoro zleźli się razem i jeden drugiemu przeszkadzał... Z takich tarapatów wyjść obronną ręką, to bynajmniej nie sztuka!...





— Co za okropny sen!... Śniło mi się, że mój narzeczony został kapitanem eunuchów!



— Co myślisz! Możeby jej zaproponować kolacyjkę z szampanem?

— Daj pokój! Ona idzie na realniejsze propozycye! Ja ją znam dobrze, to moja żona przecie



— Niech żyje Nowy Rok! On nam za wszystko zapłaci!..

Dorożkarz (ukazuje się w drzwiach): Oprócz mojej dryndy, którą wielmozny pan obstalował!



— Czy pani pozwoli towarzyszyć sobie?

— A gdzie pan mieszka?



— Czy pani nie jesteś przypadkiem „Dziewczęciem z Holandyi“?

— Nie, mój panie!.. ja nie jestem z takiego domu!



— Tak! mój drogi! Elza jest piękną, pikantną, dowcipną, ale ma jeden feler: jest moją żoną i dlatego rozwodzę się z nią!

— No i co potem?

— Potem zrobię z niej moją kochankę!



— Alfredzie! czy to twoja znajoma?

— Możliwe, ale muszę się jej bliżej przypatrzyć.. Tamta miała pieprzyk na lewem kolanie!



Pokojówka: Młodszy pan mówi, że mam kolana rychtyk jak wielmożna pani!

Lokaj: Tak, ale wielmożna pani ma łydki znacznie grubsze!



Z ludowych motywów.

Siedzi Hanka na przypiecku
I przędzie,
Duma duma i rozmyśla
Co będzie?
Ojże Hanka, nie inaczej
Jak wszędzie,
Przyjdzie Wojtek, ożeni się
I będzie.
Siadła wrona czarna wrona
Na płocie,
Nie wierz chłopu, chłopu nie wierz
Niecnocie.
Gęga gęsior, kiele gęsi,
Oj gęga,
A chłop niechce być w chałupie
Ciemięga.
Powiadała dziewka dziewce
Przy studni,
Ze pierwszy raz wziąść go za łeb
Najtrudniej,
Ale, gdy się chłopa za łeb
Już złapie,
Można na nim jeździć kiedy
Na szkapie!

Zle się zoryentował.

Pan Taubeles, siedząc przy stole w licznem gronie gości, zdrzemnął się nieco. Zauważyła to jego żona i, chcąc go obudzić, ale tak, aby to nie zwróciło uwagi innych gości, zaczyna lać z czajnika do filiżanki herbatę z znacznej wysokości.

Skutek był. Plusk spadającej cieczy obudził pana Taubelesa, ale widocznie nie mógł sobie w pierwszej chwili zdać z tego sprawy, gdzie się znajduje, odezwał się bowiem, sennym głosem, przecierając oczy:

— To ty, Róziu, już wstajesz?... A któraż to godzina?...

Z pamiętnika panny Jani.

Poniedziałek. Ten porucznik, Włoch, który od nas odnajmuje pokój, to prawdziwe dziecię Południa. W jego czarnych oczach tyle jest ognia, że z pewnością nie zawahałby się ani chwili przed spełnieniem najstraszniejszego czynu, byle na swojem postawić.

Wtorek. Czuję, że nie jestem dlań obojętną. Dziś mi to dał wyraźnie do poznania, choć ja nie władam językiem włoskim, ani on polskim. Ale zrozumieliśmy się...

Środa. Dziś zaś oświadczył mi na migi, że jeżeli go nie wysłucham, wysadzi w powietrze siebie, mnie, mamę, ciocię, mego kotka Maciusia i całą kamienicę; dał mi trzy dni do namysłu. Boże!... Co począć?

Piątek. Wczoraj cały dzień płakałam. Nie wiem, co mam począć... Życie się do mnie dopiero zaczyna uśmiechać, a tu trzeba marnie ginąć!... I tyle niewinnych osób, nawet biedny Maciuś!... Serce mi mówi, że nie powinnam być sprawczynią ich strasznej śmierci... Dla nich jestem gotowa do każdego poświęcenia!... A on patrzy coraz straszniej...

Sobota. Uratowałam od śmierci jego, siebie, mamę, ciocię, biednego Maciusia, który nawet nie przypuszczał, jakie mu groziło niebezpieczeństwo, i całą naszą kamienicę!...





Nabożeństwo.

W kościele, przed obrazem świętego Marcina,
Zmiatała suknią śmiecie pobożna hrabina,
Widząc święty, że aksamit po podłodze wlecze,
Wychylił się z obrazu i tak do niej rzecze:
„Dla biedaka, co z zimna umierać się zdawał
Uciąłem — jak wiesz o tem — mego płaszcza [kawał,
I ty utnij swój ogon, daj biednej kobiecie,
A ona już za panią posadzkę zamiecie!“

U pośrednika małżeństw.

Właściciel koncesyonowanego Biura kojarzenia małżeństw siedzi przy swem biurku ogromnie zamyślony. W ręku trzyma list, który przed chwilą doręczono mu z poczty.

Po chwili odkłada go na bok i mówi do siebie:

Pisze mi jeden z klientów, że jutro będzie w Krakowie i osobiście podziękuje mi za żonę, którą dostał za pośrednictwem mego biura... Nie wiem, jak to mam rozumieć, ale sądzę, że najmądrzej i najbezpieczniej dla mnie, jeżeli się jutro w biurze wogóle nie pokażę...

Wytłómaczył mu.

Pan Pufeles jest pierwszym buchalterem i prokurzystą w kantorze pana Pinelesa. Tu rozpoczął swą karyerę jako chłopak do posyłek i tu ją zapewne i skończy.

Poprzestawał zawsze na małem, ale gdy wszyscy upominają się dziś o poprawę bytu — i on zwrócił się z podobną propozycyą do pryncypała.

Ten był tem ogromnie zdziwiony.

— Bo i czego dorobiłem się przez te trzydzieści lat mojej ciężkiej pracy — argumentował Pufeles. — Jestem żebrak!... Cały mój zysk to hemoroidy, które sobie u pana wysiedziałem.

— Co?... — podjął Pineles. — Pan ma hemoroidy?... A pan wie, że hemoroidy mają tylko ludzie wysoko urodzeni?... Bądź pan kontent, że pan ma hemoroidy i że jest pan na równi z nimi!... Wczoraj dopiero rozmawiałem z jednym hofratem, który opowiadał o swych hemoroidach!... A pan wie, co to hofrat?... To nawet więcej, niż radca cesarski...

złożył mu życzenia, zanim on miał czas wyjąć z kieszeni powinszowanie.

— Ja pani dobrodziejce w tamtym tygodniu tak galanto komin wypucowałem — chwalił się kominiarz. — Ogromnie była kontenta!...

— Dziękuję panu!... Niech pan to powtarza częściej, ja będę miał spokój...

I podał mu rękę, na znak, że nie gardzi człowiekiem pracy, ale ten widocznie nie był z tego zadowolony, że w tej ręce nic było...

Na ulicy powinszował potem listonoszowi, który życzenia przyjął z powagą, jako słusznie mu się należące ze względu na urzędowy charakter.

Był już w Rynku, gdy obstąpiła go gromadka robotników z Zakładu Talarda, życząc zdrowia, szczęścia, pomyślności i regularnego spełniania wszystkich funkcyi życiowych.

— Dziękuję panom — mówił, ale i bronił się zarazem. — Proszę mi jednak wierzyć, że ja panom w tym roku dałem bardzo mało sposobności do urzędowania!... Bo czem się człowiek żywi?... Pęcakiem i fasolą!... Z tego niema żadnego pożytku, to wszystko idzie z wiatrem...

Pokiwali głowami na znak zgody, a jeden rzekł:

— Ano!... Przyszło wam na koniec, burżuje!... Ale mi was żal... Szkoda, że to dziś święto i wszędzie zamknięte... Zaprosilibyśmy pana na wódeczkę do Maurycja...

To oświadczenie wzruszyło pana Jana, serdecznie ich uścisnął po kolei, byłby nawet dał buzi z „dubeltówki“, aby zamanifestować, że zgodziłby się i na dyktaturę proletaryatu, gdyby ona w takie dostała się ręce...

Ale oni na to nie czekali, a i jemu się śpieszyło, gdyż chciał być w magistracie i osobiście złożyć życzenie w prezydyum, aby się nam w dalszym ciągu lepiej działo...

W przedpokoju prezydyalnym zastał tylko woźnego, który, nie zważając na ustawę o spoczynku niedzielnym, mogącym przypaść i na sobotę, robił papierosy...

— Zastałem pana prezydenta?... — zapytał pan Jan, kłaniając się nisko

Woźny spojrzał nań z góry, potem wycedził przez zęby:

— Pan chyba nie tutejszy? To pan nie wie, że pan prezydent cały rok w Warszawie?

— A któż go zastępuje?...

— My!... — i wyprostował się z godnością. — To jest tutaj ja, a tam — wskazał na biuro — któryś z panów wiceprezydentów...

— Mogę zatem może widzieć się z którymś z nich...

— A może pan... ale nie dziś!... Pierwszy umarł, drugi na szabes...

— No, a gdzie trzeci?...

— Trzeci?... Albo w domu, albo w fabryce wódek, albo w teatrze... My zresztą dziś świętujemy... A jakiż pan miał interes?

— Chciałem złożyć gminie życzenia noworoczne...

— My właściwie nie przyjmujemy życzeń, choć wiemy, że nam ludzie dobrze życzą!... Musiał pan widzieć na drzwiach uwolnienie od życzeń... Ale wyjątkowo może je pan złożyć na moje ręce... Pomówię o tem z panem prezydentem... Poprzemy pana za tę lojalność... Gdyby pan coś potrzebował, może się pan zgłosić. Naprzykład dodatkową kartę na chleb...

— Co mi z niej, gdy na nią chleba nie dostanie... Wolałbym na węgle...

— Myśli pan, że na nią dostałby pan węgle?... Myli się pan!... Ale od tego jest inny referent... Może pan spróbować... W każdym razie będzie się pan mógł cieszyć bodaj kartką...

Pożegnali się, pan Jan pośpieszył, aby się nie spóźnić do państwa Walentych na proszoną gęsiną, punkt dwunasta...





Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Okręt żeglowy nie ruszy bez wiatru z miejsca. Aby o tem wiedzieć, nie trzeba być bynajmniej marynarzem. A że życie ludzkie jest podróżą (pod psem!... przyp. zecera), a człowiek pewnego rodzaju okrętem, *ergo*, musi też mieć czasem wiatry i powinien dziękować Panu Bogu, jeśli są one pomyślne.

Otóż i ja miałem w tym czasie wiatry i to dość niepomyślne. Proszę mnie jednak źle nie zrozumieć. Nie rozchodzi się tutaj o wiatry, że się tak wyrażę, wewnętrzne, ale takie co to z zewnątrz dmuchają na człowieka, czasem z przodu, czasem z tyłu, jak mi się zresztą podoba, ale biedakowi z zasady zawsze w oczy. Inne wiatry mi nie dokuczają, odżywiam się bowiem według przepisów lekarskich.

Otóż taki właśnie wiatr dmuchnął całkiem niepotrzebnie w żagiel mojego żywota i zamiast na święta Bożego Narodzenia i na Sylwestra zapędzić mnie do Krakowa, jak to zresztą *urbi et orbi* zapowiedziałem, zagnał mnie naraz nad Bosfor, skąd niebawem, jak się tylko załatwię, wyruszam do Teheranu, aby potem odwiedzić Mikada w Japonii, który na mnie czeka (poprzednik jego, biedak, umarł z tego czekania!...) i drogą na Amerykę wrócić do Europy.

Spyta może, a przynajmniej powinien, ten i ów, co to są za wiatry, dmące w żagiel ludzkiego żywota, to mu odpowiem, że to są obowiązki i interesy. Służba nie drużba, kto powiedział „a“, musi powiedzieć „b“, chyba, że nie ma ochoty.

A rzecz tak się ma cała:

Po posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie, na której laliśmy figi dla różnych państw, wybrałem się na krótki czas do Londynu, aby się przekonać, czy budynek ambasady polskiej jest dość obszerny i wygodny, bym tam mógł zamieszkać, pan minister Sapieha proponuje mi bowiem zupełnie seryo objęcie tego stanowiska ze względu na bliskie stosunki, jakie mnie łączą z Lloydem George'm.

Z pobytu mego skorzystał Lloyd George i wysłał mnie w charakterze „wysokiego komisarza“ do Konstantynopola, gdzie mam odegrać ważną rolę przy szacowaniu i dzieleniu haremu sułtańskiego. Po Niemczech podzielili się spadkobiercy koloniami i flotą, po Austryi długami, po Turcyi haremem. I ja mam właśnie dopilnować, aby przy tym podziale nikt nie został pokrzywdzony.

Pozatem, znając moje wielkie wpływy na Bałkanie i wiedząc o tem, że ten złoty wieniec, który otrzymał od obywateli Venizelos, był właściwie dla mnie przygotowany i przeznaczony, prosił mnie, abym zapowiedział w Grecyi wyraźnie, że Anglia nigdy się nie zgodzi na powrót króla Konstantyna na tron. Mogą sobie uchwalać, co im się podoba, ale się stać musi, czego sobie życzy Rada Najwyższa t. j. Lloyd George. W ostateczności gotowi są przecież Anglicy dać swe pozwolenie, ale pod warunkiem, że król kupi sobie małpę i że ta go ugryzie. Lloyd George ma takową do pozbycia po cenie umiarkowanej.

Wspominałem zaś, że miałem i interesy, rozumie się prywatne, a mianowicie, miałem wstąpić do Fiume, aby zamówić u d'Anunzia wiersz do „Kalendarza Bociana“ na rok 1922, gdyż do tegorocznego, choć się zobowiązał jeszcze w maju, nie nadesłał. U niego, jak u naszych szewców lub krawców trzeba zamówić „robotę“ cały rok naprzód.

Drugi interes wymaga mojej obecności aż w Teheranie, gdzie mam doprowadzić do skutku zakupno dziesięciu wagonów proszku perskiego. Pozwolenie na przywóz i zapewnienie, że w ostatecznym wypadku cały zapas zakupi Rząd, otrzymał jeden z posłów ludowych, który, mając dobre serce, postanowił się podzielić zyskiem i z drugim (a tym mam być ja!...), pozatem boi się opuścić Warszawę, aby mu się nie wymknął z ręki inny, daleko lepszy interes, który jednak rezerwuje już dla samego siebie.

Pomyślałem sobie, że to nie będzie od rzeczy zarobić trochę grosza w sposób „uczciwy“, przytem na proszku perskim znam się dobrze, swojego bowiem czasu miałem pluskwy w łóżku. Do niepewnych artykułów, n. p. do mydła, na którym swojego czasu wyszedł źle ś. p. Zabłocki, nie brałbym się nigdy. Ale do tak nieszkodliwego, jak proszek perski, nawet owadom krzywdy nie wyrządzający?... Robią inni interesy, dlaczegóż i ja nie mam spróbować?... Czy ja to od macochy?...

Wybrałem się zatem w drogę i zawadziłem najpierw o Fiume, gdzie mnie d'Anupzio przyjął bardzo serdecznie, oświadczył jednak zupełnie otwarcie, że „humorystyka, to nie jego fach“... Chciał mi natomiast zamiast wiersza dać tekst swej mowy tronowej, którą wygłosił podczas otwarcia parlamentu. Podobała się, gdyż klaskano ogólnie.

Obecnie jestem już w Konstantynopolu i jako sumienny taksator, rozglądam się w materyale haremowym, co mi zabiera wiele czasu tak w dzień, jak w nocy.

O pobycie nad Bosforem i dalszej podróży doniosę w następnym liście, skąd, tego sam jeszcze nie wiem.

W każdym razie muszę przyznać, że dobrze mi się tutaj dzieje, czego i P. T. Czytelnikom, tak kawalerom jak i żonatym, życzę przy Nowym Roku!

Salem alejckum!
Klapa.

P. S. Obchodziliśmy w Konstantynopolu bardzo uroczyście jubileusz *Kuryerka*. Na polecenie sułtana wielki eunuch wysłał do Redakcyi telegram tej treści:

„Twórcy trypolitańskich Legionów cześć i chwała. Sułtan łączy się z życzeniami ogółu i w dowód swej najwyższej łaski mianuje naczelnego redaktora kawalerem orderu „Czarnej perły“.

O gospodarzu, gospodyni i parobku.

Czego się to tak Ignacy
W łeb pięściami bije!
Nie dziwta się ma on chudak
Wielką turbacyję!
Nie wie kogo z wozem posłać
Do boru po łaty
Nie wie kogo ma zostawić
By pilnował chaty.
Pośle Wojtka to mu w drodze
Zamrze gdzie szkapina
Pośle żonę — to się na nic
Zmacha kobiecina.
— — — — — — — —
Za stodołą, za Maćkową
Zdybał Wojtek Ignacową
I wespół z nią biada —
Powzdychali, pogadali,
Rozeszli się, poszli dalej —
I już była rada.
— — — — — — — —
A Ignac precz medytuje
Ledwo się nie wścieknie!
Aż ci tu znienacka Wojtek
Tak onemu rzeknie:
„Albo mnie i gospodyni
Wóz do boru dajta,
A sami dla bezpieczności
Chałpy doglądajta!
Albo jedźta wy do lasu
A, my przy chałupie
Z gospodynią Ignacową
Zostaniemy w kupie“.
Ucieszył się na te słowa
Ignac z całej mocy —
Poszedł Wojtek z Ignacową,
Wrócili aż w nocy.

Comme il faut...

U państwa Gawlików, świeżo zbogaconych milionerów wojennych, bywa bardzo mieszane towarzystwo, nie przestrzega się też zbyt zasad *savoir vivre'u*, pani Gawlikowej zupełnie nie znanych.

Razi to jednak jej przyjaciółkę, panią Knotkiewiczową, dziś również żonę milionera, za młodu pannę służącą w pewnym domu arystokratycznym, gdzie miała sposobność poznać zwyczaje i obyczaje eleganckiego świata.

— Moja pani Gawlikowa — mówi do gospodyni — widzę, że różni młodzi panowie wychodzą często „na papierosa“, a potem wracają i palcami biorą cukier z cukierniczki. To nie jest *comme il faut*, jak mówiła moja przyjaciółka, pani ministrowa...

— Ta, co to pani u niej... — przerwała, ale i urwała zaraz Gawlikowa, nie chcąc poruszać nieprzyjemnych wspomnień — A cóż mam zrobić?

— Trzeba kupić szczypce srebrne!... — odpowiedziała Knotkiewiczowa z miną i powagą mentora.

— Zaraz jutro się o to postaram!...

W następny czwartek jest znów *fix* u Gawlików. Przybyła też i pani Knotkiewiczowa, a pierwsze jej spojrzenie, jakie rzuciła, padło na cukierniczkę... Szczypców nie było!...

Zwraca się zatem do Gawlikowej z wymówką:

— Nie posłuchała pani mojej rady!... Nie kupiła pani szczypców!...

— Owszem!... Zaraz na drugi dzień i wybrałam, jakie były największe, bo to nie wiadomo, kto ich będzie używał... Powiadam pani, szczere srebro...

— A gdzież są?...

— Tam gdzie dla nich miejsce... W klozecie i to w tak widocznem miejscu, że każdemu muszą zaraz wpaść w oko!...



Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Łątkiewicza. Odpowiedzialny redaktor: Stanisław Wrześniowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Krasz…



Utajony w tej dziewczynce,
Bieży Nowy Rok na śwince!
Kusi dziewka białym biustem,
Nęci świnia połciem tłustem,

Gorszy się tem moralista,
Mądry na skrupuły śwista,
Bo pruderyą i dzieciństwem
Jest nazywać świństwo świństwem.